

BEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

12

— Należy się porucznikowi! — ujęła się ze wzburzeniem pani Honorata. — Sto dwadzieścia ośm dukatów, to nie sto złotych!

— Prawda — prawda! — przytwardzili Krański z Krępowskim.

— Obywatele, jeno warunek! — rechotał Filiański — zwycięzca płaci po butelce na głowę!!...

— „Śpiewajmy jeszcze mazurka, dopóki nam służy „Dziurka“, póki trąbka“... — pisał głos z boku.

Pani Honorata porwała się, jakby ją żmija ukąsiła.

— Co wujo mi tu wyprawia!

— „Bez kawiarni Honoratki nie masz“... — intonował Olechowski.

— Więc trzymam dwieście na paroli! Do jutra! Przy świadkach.

Bem zmarszczył się.

— Przy świadkach!

— Ja pierwsza! — wmieszała się pani Honorata, zdążywszy już rozprawić się z wujem Olechowskim.

— Mówiłem, że dama zdradliwa, ale mocna.

— Przyjmuję, bo lichy mi po dukatach — lecz warunek.

— Co za warunek. Bez warunków graliśmy.

— Najpierw gram o tyle, ile tu leży przedemną, o sto dwadzieścia ośm dukatów, — a powtóre, po jednym ciągnięciu nie gram więcej i więcej na kwit nie idę.

— Ani ja!

Karty w rękach porucznika trzasnęły i jęły miąć się dziwnie.

— Jeszcze słowo. Major Boski zechce ciągnąć.

Gurowski zacerwienił się po same białka i rzucił karty majorowi.

Boski zaczął je tasować niezgrabnie. Pułkownik kończył zawiązać nowy rulonik dukatów. Pani Honorata darła rąbek szalika. Magister Filiański pomagał Rózi nalewać wino a dogadywał jowialnie.

— Cóż, akuratywny faraonik, niema co. Kurtę nam skroili pułkownik rzetelna! Takiej procesyki dubletów od czasów szambelana Friebeśa nie oglądałem, dalipani! — Na kuraż, obywatelu poruczniku do dna!

Friebeś tak właśnie szedł, w piekło po swoje! — A lampka — Małachowski także czka i chłopce, jako niedły kawaler de Bolesza! Ciągnij fortunę za ogon, majoruniu...

— Zaniechaj pan!

— Silentium!

Boski uporał się nareszcie z kartami.

— Zaczynam.

— Pancerola! — zaskrzeczał Filiański, na widok szóstki winnej.

— I niżnik dzwonekowi! — dokończył Krański.

— Wisisz, Adasiu!

Gurowskiemu oczy zmętniały.

— Zdrowie pułkownika!

Bem podniósł się z ławy.

— Jakto, obywatelu — zaprotestował Filiański — odchodzisz?

— A wino, wino, obywatelu!

— Pan pułkownik woli się salwować i ma czym! — zarechotał Krępowski.

— Jakby w „chapankę“ grał! — syknęła przez zęby pani Honorata. — I z kim?! — Róziu, ile za butelki?

Bem spojrzał prosto w zło, błyszczące pasyą oczy właścicielki kawiarni i rzucił pogardliwie rulonami złota.

— Masz tu pani za wino i za swe trudy!

— Skądże — jakże! — wykrzyknął ze zdumieniem Filiański. — Więc w takim razie kolejka dla wszystkich?!

Lecz Bem, nie zwracając na magistrę ani na poruszenie kompanów — odwrócił się i wyszedł z alkierza.

VI.

Profos Dziurbacki ledwie około półrocy dowlókl się na Zapiecek, do kamieniczki i na poddasze, kędy u kumy Olesiowej stancyjkę, a raczej norę pod dymanikiem trzymał.

Paraliticzka, na widok swego komornika, a je dynego opiekuna, aż zadygotała na barłogu. Ale profos ledwie że ją pozdrowił a wybełkotał słów

kilka na zale Olesiowej, jako Szewczanki dowołać się nie może, jako ochędustwa żadnego jej nie daje, a jako pół dnia bez kropli wody ją trzymała.

Paraliticzkę strach ogarnął i ścigające ją od dziesiątków lat lęki przywiódł.

— Jegomość, a może „Suwarów“ idzie! He?

— Et tam, koszalki — miałby po co z tamtego świata!

— Bo jegomość skwaszon...

— Napij się, kumka, mleka. Jest-że pełen kubek! Ręce paraliticzki zatrząsły się łapczywie.

— Daj jegomość, daj! Przymieram głodem.

Wszystko mi zje, wszystko wypije... Um! A jak przyjdzie? He? Myślicie!? A król jegomość w Grodnie!

— A Sobieski pod Wiednikm.

Olesiowa mrugnęła z wysiłkiem zaropiałemi oczkami, klapnęła spiczastą szczęką i zdziwiła się.

— Przecież mu Stanisław!

— Oo — właśnie, mosanie!

— Widziałam go, jakby jegomości, srebrzysty cały, głowa napudrzona, pazie niebieskie dokoła...

— Chcecie pytlowego!

— Um! Dajcie jegomość! Dajcie!...

Paraliticzka chwyciła za pajdę chleba. Dziurbacki poprawił jej wezgięcia i nie bacząc na splenienie kumy o Suwarowie, który niechybnie na Zapiecek się wybiera, przystawił małą drabinkę do otworu w kacie ściany, wspiął się i wsunął weń na czworakach. Tu dopiero, popełniawszy nieco, zmacał zrzębu komina, wyprostował się, skrzesał ognia i zapalił ogarek.

Ogarek zaskwierczał przeraźliwie i oświecił złotym, migotliwym płomykiem rezydencję profosa Dziurbackiego.

Rezydencja ta, na pierwszy rzut oka, wyglądała na wielką, nieogarniętą rodzaju rupieciarnię, tulącą się do belkowań i skośnych linii poddasza. Dopiero po bliższym jej przyjrzeniu się, chaotyczna rupieciarnia przeistaczała się w szereg rozmaitego gatunku i charakteru lamusów. Więc, gdy w jednym kącie, pod powalą, zdało się, że krawiec wojskowy składał tu wszelkie gałgany, a zbywające części odzieży — w drugim, możnaby przysiądz, że płatnierz z puszkarzem trzymali podręczny składzik. Tu nagromadzone butle, słoje, pudła, zdaleka wiały wyziewami jakichś soli osobliwych a ziół — ówdzie piły, mioty i młotki, cęgi i naczynie majsterskie cztery naraz przywoziły kunszty; — ówdzie kupy żelastwa, stosy drewna, kołków i patyków bez mała wyznaczały się w ich przeznaczeniu nie pozwalając. Jeden tylko szary pokład pyłu był tu wszędzie ten sam.

Dziurbacki ledwie okiem rzucił po swoim dziedztwie i skierował się za mur komina, kędy, wciśnięte pod więźbą drewnianą dachu, widniało posłanie a przed niem, do komina przyparty, czerniał szeroki stół.

Tu profos postawił ogarek na stole. Odetkał otwór w dymniku. Ściągnął z siebie pas i mundur, otarł potem zroszone czoło i przysiadł na posłaniu.

Ciężko mu czegoś było na sercu, nijako.

Inaczej sobie powrót układał, inaczej spekułował. Wszak ci głowił się już dwa dni, czyli swój „magazyn ubiorczy“ przenieść do „ludwisarni“, czyli „skład porządków“ złączyć z rymarskim warsztatem, a jako najporeczniej będzie deskami kącik zagrozić, aby Antosze było prawie na nowej kwaterze. Miał już w myśli wyliczone, czego trza będzie takiej izdebce dokupić, a czego trza dziewczynie, aby opiekami huzarami z pod mentyka nie łyskała, bo co ujdzie w obozie, to w mieście nie uchodzi. A co pasuje cygańskiej znajdzie, to całe nie pasuje Staszkowej wnuczce... I cóż — i na jedno znalazł radę i na drugie znalazł — aż tu, niby go obuchem. Pułkownik do niego — „na poniewierkę jej nie dam“... a tamten śmignął mu bryką... Do Leszna migła mu się. Tchu mu brakło, lecz nie ustawał, żeby wiedzieć akuratywnie, bo nie ochapiał, bo go ciągnęło, bo smarkata mores powinna znać i dla dziadowego ozwania mieć sentyment. A ona, cieli nie cieli, niby kurczę, wiezione na targ w ko-białce, ślepiani myrdnęła, łbem pokręciła i pędziła, gdzie konie poniosły. Na Lesznie, bryka hyc w bok i w uliczkę, około koszar artylerji i ku Długiej — profos za nią — dopadł węgię, patrzy ani bryki, ani Antoszki! Pasya go zdjęła. Poszedł w jedną ulicę, w drugą, na prawo, na lewo, znów do miejsca, kędy był z oczu bryczkę stracił. Zaglądał na podwórza, myszkował po zajazdach, nigdzie śladu. Lecz z umęczenia się uspokoił. Już Staszek, nieboszczyk, ciemięgą był nielada, bo ani weź do pojęcia nie brał, że kto się na Kurpiach rodzi, temu z harmaty pudłować wolno, lecz tego prawo, choćby krzykał podejść z krucicy. Ciemięgą był, ale miał szczęście. Siedm razy się wyliżał i dopiero ósma

mu się dobrała pod serdeczne zebro. Takoz i ta śmierducha. Zawieźli ją gdzie do pańskiego dwora. Jej co! Myrdnęła po swojemu ślepiani i rozpiera się w cycowym krześle. Tak sobie myślał profos. Aliści, przy Miodowej tuż, patrzy, trajkocze pusta bryka. Ten sam srokacz z wysiapanym ogonem i taż sama kusa, spasiona kobyła cisawa białonóżka. Dziurbacki do bryki i do pacholka.

— Stój sam! Poczkaj! A dokąd żeś to, bracie, zawiózł niby swego pana z tym tam?...

Pacholek, za całą odpowiedź, ciał konie przez łeb.

Bryka zawięła w bok i zanim Dziurbacki zdolał pomyśleć o wpadnięciu obces na pacholka, pomknęła jak opętana w ulicę...

Teraz profosa już niespokojność prawdziwa zdjęła, teraz do reszty odbiegł go rezon.

Bem! Bem juści, jak Bem! Szczery człek był, ale jemu cóż do Staszkowej wnuki. Smykowi przyszło rozkazać tak i tak, a tu coś może tak a może nie tak! Smokiem żadnym nie jest, ni upiorem, aby odeń, jak od zapowietrzonego lada parobas! Musi inaczej. Pułkownicka racya jedna, a profosowa druga. Każdy po swoje... Ucapu pułkownika i wyłoży, a no wyłoży, że mu potrzeba wiadomości, gdzie i u kogo i co? I śmierduchę odnajdzie, a jakże, i dopiero niech zna siaka, niech się rozumowi uczy, że Kurpianka takoz ma się czem pieczętować. A jak nie zechce? A jak jej zapachniały pańskie formy, dworskie ogryzki?!

Dziurbacki, który był właśnie nad znalezieniem odpowiedzi na to pytanie się głowił — stęknął ze złością.

— To niech ją mosanie! A niech przepada nicpotem, niewdzięcznica. Pewnie — Staszkowa krew. Słuchać nie chciał, na unór wziął i bełtał się po Italii, aż się dobełtał. Tfy! — Samotrzcę chodzi tyle lat po świecie, to i chodzić będzie i nie mu nie ubędzie. Et tam, co tam — tydzień lasiła się, niby pies do kija i tyle. I dobrze. Nie na to całe życie prawie w pojedynkę był, aby nianką czyli utrzymosem cygańskim zostać. A cygańskim, a ma się wiedzieć! Albo jeszcze gorzej! I jeszcze — może wiadomo, ileby trzeba było wysuplać. Lepiej niech sobie w skrzyni siedzą, w zaciszu! Ho-ho. widziało się, obieżyświatowi! Tego jej się zachciewało! Nie-doczekanie! Łaska boska!...

Tu Dziurbacki sięgnął za pazuchę i dobył szarego, mocno wyładowanego a rozpiaszczanego mieszka. Położył go na stole, sznurek rozsypał i potrzaskał zlekka. Z mieszka wytoczyły się na prześcigi złote i srebrne monety z całym tuzinem wielkich, bombiastych, srebrnych guzów.

Profos zaśmiał się zeicha i jął przeziierać z ukontentowaniem zawartość mieszka. A była ona znaczniejszą, niż sobie Dziurbacki kalkulował. Samych rubli złotych katarzynskich, cieniutkich, iż w palcach się gięły, naliczył kopę. Aż nie do wiary, żeby z tyłim majątkiem do bitwy stawać i co trudniejsze do pojęcia, bimbać tem w sabeltaszy! Snadniej już było temu hułanowi w czapie z temi dwuzłotówkami!

— Niema co, silna była rozprawa. Nie spodział się. Po omacku prawie, bo już i ciemno było, myszkował a zgarniał przed maruderstwem. A myślałbyś, że drugie się przydarzyły Ponary, kiedy to przy lada zmarzlaku bywało tyle napoleonów, co robactwa.

— Cie, dopiero Ostrołęka! Eh he, gdyby woneczas ten sam rozum miał, kiedy w legii na bosaka chodził! Pod Hochenlindą, czy jak tam, że piechurkowi austriackiemu ciżmów ulżył, to póty mu chodziło po rozumie, aż je zzuł i precz wyrzucił. — Głupstwa mu wiuwały, gdzie nie potra, i tyle. Niby na tamtym świecie wiele komu z chudoby! I potem, gdy przejrzał, ile zmitrężył, zanim się nacyzył, że co huzar w sabeltaszy trzyma, sztabowczyk w ładownicy, tego u liniowego biedactwa i szukać nie warto. Eh, gdyby woneczas ten rozum miał!

Profos westchnął i zapatrzył się smutnie. Naraz, z pomiędzy guzów srebrnych, wyrzwały ku niemu szklane, wytrzeszczone oczy...

Dziurbacki wzdrygnął się, nachmurzył i splunął siarczyście. Poczem, z pod desek posłania, wysunawszy szeroką, w żelazne okucia ujętą skrzynię, otwarł ją kluczykiem, który miał pod koszulą, na szyi zawieszony i podniósł wieko.

Wnętrze skrzyni zagrało złoto-srebrnemi blaskami.

Żółta, pomarszczona twarz profosa rozpogodziła się na widok tak znacznego dobytku

— Ciulało się, aż się naciulało! Z mędel albo i lepiej nacy by tu znalazł. I cóż, holendry z napoleonami i czerwonymi złotem w zgodzie sobie leżą. Rynggraf francuskiego adjutanta spoczywa obok złotych przetyczek angielskiego kwatermistrza, cebulasty, sadzony zegarek, co się pod Smoleńskiem przy neapolitańskim gidzie po ziemi tulał, drzemie